 Czas czytania: 9 min.

Podczas trzech nocy poprzedzających ostatni dzień roku 1860, Ksiądz Bosko miał trzy sny, jak je nazwał, ale my z pewnością, to co widzieliśmy, usłyszeliśmy, czego doświadczyliśmy, możemy nazwać je niebiańskimi wizjami. Był to ten sam sen, powtórzony trzy razy, ma za każdym razem w innych okolicznościach. Oto, jak w krótki sposób nasz dobry Ojciec opowiedział je w ostatni wieczór roku 1860 całej zgromadzonej młodzieży. Tak mówił:

I.

– W ciągu trzech nocy z rzędu /we śnie/ znajdowałem się na wsi w miejscowości Rivalta. Razem z księdzem Cafasso, Sylwiuszem Pellico i hrabią Cays. Pierwszą noc spędziliśmy na rozmowie o zagadnieniach z Religii św. dotyczących osobliwie naszych czasów. Druga zeszła nam na konferencjach moralnych, w czasie, których rozwiązywaliśmy wiele kwestii sumienia, zwłaszcza odnoszących się do kierownictwa młodzieżą. Widząc, że już przez dwie noce z kolei miałem ten sam sen, postanowiłem opowiedzieć go swoim, jeśliby powtórzył się po raz trzeci.

I oto w noc z 30 na 31 grudnia, znalazłem się ponownie na tym samym miejscu i z tymi samymi osobami. Odłożyłem, więc wszelki inny temat i wiedząc, że wieczorem dnia następnego, jako w ostatni dzień roku, miałem wedle zwyczaju dać upominek noworoczny swoim chłopcom, zwróciłem się do księdza Cafasso z prośbą:

– Niech ksiądz, który jest tak wielkim moim przyjacielem, podsunie mi wiązankę dla moich synów.

– Powoli. Powoli – odpowiedział mi. Jeśli chcesz, bym ci podał wiązankę, idź i powiedz pierwej twoim chłopcom, żeby sporządzili i przełożyli swoje rachunki.

Znajdowaliśmy się w dużej sali. Ksiądz Cafasso, Sylwiusz Pellico i hrabia Cays zasiedli przy stole, stojącym w środku. Ja tymczasem posłuszny poleceniu księdza Cafasso, poszedłem zwołać chłopców, znajdujących się na zewnątrz, z których każdy był zajęty dodawaniem liczb na tabliczce trzymanej w ręku.

Chłopcy jeden po drugim, wchodzili z tabliczkami, na których widniały długie kolumny cyfr do zsumowania, przedstawiali się trzem wspomnianym osobistością i wręczali im swoje rachunki. Owi panowie sprawdzali dodawanie, i jeżeli strona była zapisana gęsto i przejrzyście, zwracali ją właścicielowi; oburzali się zaś i odrzucali pracę, jeżeli wyniki były pomylone.

Pierwsi byli to ci, którzy utrzymywali swoje rachunki w porządku; drudzy zaś, którzy mieli rachunki zmylone. Tych ostatnich nie było mało. Ci, co odebrali poprawną tabliczkę, opuszczali salę zadowoleni i szli zabawić się na podwórze, inni natomiast wychodzili smutni i przygnębieni. Cała gromada młodzieży wyczekiwała swojej kolejki przed progiem ze swymi tabliczkami. Sprawdzanie zajęło sporo czasu.

Gdy już zdawał się, że wszyscy przeszli, spostrzegłem jeszcze kilku stojących, którzy nie wchodzili. Pytam, więc księdza Cafasso:

– A tamci, na co czekają?

– Tamci – odpowiada ks. Cafasso – mają tabliczki całkiem puste, stąd nie mogą wykonać dodawania. Nam tutaj chodzi o zsumowanie tylko tego, co się posiada i czego się dokonało. Dlatego niech owi chłopcy idą wypełnić swoje tabliczki liczbami i niech powrócą, a wówczas będzie można wykonać dodawanie.

Na tym zakończyło się sprawdzanie rachunków.

Następnie, wraz z trzema osobistościami wyszedłem ze sali na podwórze, gdzie gromada chłopców, których tabliczki były pełne i w porządku, zabawiała się z niebywałą wesołością. Promienieli zadowoleni, niby książęta. Nie zdołacie wyobrazić sobie szczęścia, jakiego doznałem na widok ich radości. Jednak pewna część chłopców nie bawiła się, tylko stojąc przypatrywała się innym. Nie byli oni zbyt weseli. Niektórzy mieli przepaskę na oczach, czy jakąś mgłę, inni całą głowę otoczoną ciemną chmurą. Jednym wychodził dym z głowy, drudzy mieli serce pełne ziemi, inni wreszcie – serce puste, opróżnione z rzeczy Bożych. Widziałem ich i rozpoznałem bardzo dobrze; jeszcze teraz mógłbym ich wyliczyć po imieniu od pierwszego do ostatniego.

Zauważyłem również, że na podwórzu brakowało wielu chłopców i po chwili namysłu rzekłem do siebie:

– Gdzie też znajdują się ci, co mieli tabliczki zupełnie puste, niezapisane cyframi?

… Rozglądam się tu i ówdzie, wreszcie rzucam okiem po zakamarkach podwórza. Co za bolesny widok. Dostrzegam jednego, wyciągniętego na ziemi i bladego jak śmierć. Kilku siedziało na niskiej brudnej ławce, inni leżeli rozłożeni na warstwie gnijącej słomy, jeszcze inni na gołej ziemi lub na rozrzuconych wkoło kamieniach. Byli to właśnie ci wszyscy, którzy nie mieli uporządkowanych rachunków. Leżeli mając ciężko schorzały język, tamten uszy, inny oczy, które u kilku roiły się od pożerających robaków. Jeden nawet miał język całkiem zropiały, drugi usta pełne błota. Ktoś wydawał śmiercionośny zaduch z gardła. Byli to tacy, którzy mieli stoczone przez robaki serce, oczy zbutwiałe i w rozkładzie. Znalazł się nawet jeden całkiem owrzodziały. Był to prawdziwy szpital.

Stałem oszołomiony i nie wierząc własnym oczom zawołałem boleśnie:

– Co to wszystko znaczy?

Potem zbliżyłem się do jednego z tych nieszczęśliwych i pytam:

– Czy naprawdę jesteś tym a tym?

– Tak – odparł – to ja.

– Jakim sposobem znajdujesz się w tak opłakanym stanie?

– Widzi ksiądz. To mąka z mojego własnego młyna. Jest to owoc moich nieporządków.

Przystąpiłem do drugiego i następnych i otrzymałem tę samą odpowiedź. Uczułem w sercu jakby ostry kolec, lecz mój ból złagodził się widokiem tego, co właśnie zamierzam opowiedzieć.

Z żywym wzruszeniem w sercu zwróciłem się do księdza Cafasso i zapytałem błagalnie:

– Jakiego środka mam się chwycić, aby uleczyć tych biedaków?

– Wiesz na równi ze mną, co należy czynić – odparł ksiądz Cafasso – nie potrzebuję ci tego tłumaczyć. Pomyśl nieco. Zastanów się.

– Niech ksiądz poda przynajmniej wiązankę dla zdrowych – nalegałem pokornie.

Wówczas ks. Cafasso polecił mi iść za sobą, a zbliżywszy się do pałacu, z którego wyszliśmy, otworzył drzwi. Przed nimi ukazała się wspaniała sala, strojna złotem, srebrem i najkosztowniejszymi ozdobami, oświetlona tysiącem lamp. Z każdego punktu tryskało światło tak silne, iż oko znieść nie mogło tego blasku. Sala ciągnęła się wzdłuż i wszerz daleko jak okiem sięgnąć. Na środku stał szeroki stół, uginający się pod przysmakami wszelkiego gatunku, a więc: czekolady duże jak kawałki chleba żołnierskiego oraz ciasta tak wielkie, iż każde z nich wystarczyłoby dla nasycenia człowieka.

Na ten widok chciałem natychmiast wybiec i zwołać chłopców, by im pokazać przepych owej cudnej sali i zaprosić ich do stołu. Ale ks. Cafasso wstrzymał mnie krzycząc:

– Powoli. Powoli. Nie wszyscy mogą jeść te smakołyki. Zawołaj tych tylko, co mieli rachunki w porządku.

Spełniłem polecenie i w okamgnieniu sala wypełniła się chłopcami. Zabrałem się tedy do rozdawania wszystkim słodyczy, które nęciły wspaniałym wyglądem. Ksiądz Cafasso oparł się ponownie:

– Powoli, księże Bosko, powtarzam, powoli. Nie wszyscy tu obecni mogą kosztować tych łakoci. Nie wszyscy tego godni.

Tu wymienił i wskazał niegodnych. Przede wszystkim wyliczył tych, co byli pokryci ranami i nie znajdowali się na sali razem z innymi, ponieważ nie mieli uporządkowanych rachunków; następnie również tych, których rachunki były wprawdzie w porządku, lecz mieli albo mgłę na oczach, albo serce pełne ziemi lub ogołocone z rzeczy Bożych.

Wówczas zacząłem tonem proszącym:

– książę Cafasso. Niech ksiądz pozwoli, żebym i tym także dał po kawałku. Przecież to moi chłopcy. Tym bardziej, że taka obfitość wszystkiego i nie ma obawy, by mogło zabraknąć.

– Nie. Nie – ciągnął ks. Cafasso. Jedynie ci, co mają usta zdrowe, mogą spróbować

tych słodyczy, inni nie. Nie dla nich te przysmaki. Mają usta chore i pełne goryczy. Takie rzeczy słodkie wzbudziłyby w nich obrzydzenie i nie mogliby ich przełknąć.

Uspokoiłem się i zacząłem rozdawać ciastka tym tylko, których mi wskazano. Obdzieliwszy suto wszystkich, rozpocząłem rozdawać na nowo i powtórnie każdy otrzymał porcję porządną. Zapewniam was, że cieszyłem się niezmiernie widokiem tych chłopców znajdujących z takim apetytem. Na ich twarzach malowała się radość; byli tak jakoś przeobrażeni, że nie wyglądali na biednych chłopców z Oratorium. Ci, co zostali bez słodyczy, skupili się w jednym kącie smutni i zawstydzeni.

Zdjęty najwyższym współczuciem dla nich zwróciłem się ponownie do księdza Cafasso i prosiłem usilnie by mi pozwolił również ich uraczyć ciastkami.

– Nie. Nie – odparł ksiądz Cafasso – nie godzi się. Nie godni są tego. Uzdrów ich najpierw, a wtedy będą mogli skosztować.

Przypatrzyłem się tym biedakom. Przypatrzyłem się także pozostałym na zewnątrz, poranionym, którym również nic nie dano. Rozpoznałem ich wszystkich i spostrzegłem, że na domiar złego niektórzy mieli serce robaczywe.

Zapytałem księdza Cafasso o lekarstwo, jakiego mam użyć, aby wyleczyć tych nieszczęśliwych. I znowu odebrałem odpowiedź:

– Pomyśl. Zastanów się. Znasz je dobrze.

Poprosiłem wtedy, by mi przynajmniej dał obiecaną wiązankę dla chłopców.

– Dobrze – odrzekł – dam ci ją.

I przybrawszy postawę człowieka wybierającego się w podróż, krzyknął trzy razy głosem coraz to donioślejszym:

– czuwać. Czuwać. Czuwać!!!

To mówiąc, począł znikać wraz ze swoimi towarzyszami, a równocześnie rozwijało się całe widzenie.

Zbudziłem się i spostrzegłem, że siedzę na łóżku, z plecami zimnymi jak lód.

(*MB IT VI, 817-822; MB PL VI 276-281*)

II.

13 stycznia – ks. Bosko po modlitwach wieczornych powiedział:

„W obecnym stanie rzeczy czuję się zwolniony od sekretu. Powiedziałem, że śniłem ów sen trzy noce z rzędu; 28,29 i 30 grudnia.

W pierwszym na temat spraw bieżących otrzymałem wiele świata.

Drugiej nocy, na temat współczesnych kwestii moralnych odnośnie wielu spraw sumienia wychowanków Oratorium.

W trzeciej nocy rozwiązane zostały kazusy praktyczne, za pomocą, których poznałem stan wewnętrzny każdego poszczególnego chłopca.

O tym, co widziałem pierwszej nocy, nie wypadało mi mówić, gdyż zakazuje tego Pismo św. Lecz w dniach następnych zawoławszy każdego chłopca wyjawiłem, co odnosiło się do niego. Wszyscy zapewniali, że to zgodne z prawdą. Nie mogłem wątpić, że to była szczególna łaska boża udzielona wychowanków Oratorium.

Dlatego czuję się w obowiązku przestrzec was, że to Pan Bóg was upomina i biada tym, co nie wysłuchają jego głosu.

Ksiądz Cafasso zwołał chłopców do sali i odczytał każdemu, co się go tyczyło. Niektórzy mieli rachunki załatwione. Inni mieli liczby, lecz brakowało

podsumowania.

– Czy wszyscy otrzymali tabliczki?

– Nie, gdyż wielu było nieobecnych; niektórzy leżeli na słomie, inni siedzieli na stołkach, niektórzy na ziemi, z ranami na ciele cuchnącymi.

Których rachunki były w porządku, to ci co mają sumienie spokojne. Ci, co nie mieli ich podsumowanych, byli w porządku, brakuje ostatni rachunek – to jest ostatnia spowiedź. Ci z oczyma opasanymi lub przyćmionymi – to pyszni i samolubni. Tych z robakami w sercu, mógłbym wymienić każdego z osobna i powiedzieć, dlaczego leżeli na słomie, na stołkach lub na ziemi. Widziałem także wnętrze serca. Wielu miało je przepełnione szlachetnymi rzeczami: różami, liliami, fiołkami pachnącymi. Te kwiaty wskazywały na różne cnoty. Lecz inni. Serce toczone robactwem oznaczało tych, co ulegają niechęci, nieprzyjaźni, złości itp. Niektórzy mieli w sercu żmije, znak wielu grzechów ciężkich. Inni – pełne ziemi – to ci, co są przywiązani do spraw ziemskich i zmysłowych. Wielu miało serca próżne: to ci, co żyją w łasce bożej i nie mają przywiązania do spraw ziemskich i zmysłowych, lecz nie zabiegają o to, by napełnić je bojaźnią Bożą. Prowadzą życie bezmyślne i choć niepopadające od razu w pęta szatańskie, stopniowo jednak stają się złymi. Ci, co mają nieuporządkowane sprawy dusz, niezwłocznie mają przyjść do mnie. Niech mi przyrzekną, że nie odmówią, czego od nich zażądam. Zresztą, czego sami nie potrafią wyrazić, sam ich wyręczę. Jestem w możności powiedzieć wszystkim ich stan przeszły, obecny i coś z przyszłości.

Ach, drodzy chłopcy! Zgrozą przejmuje mnie myśl o tym! Nigdy nie uwierzyłbym, że w naszym domu są chłopcy o tak zagmatwanym sumieniu! Iluż było leżących na ziemi poranionych! Zapewniam was, że to mi nie pozwalało zasnąć. Chwalę tych, co postarali się uporządkować swe sumienia. Wielu jednak o tym jeszcze nie myśli”.

Na te słowa łzy spadały mu z oczu. Po paru chwilach powiedział nam:

– dobranoc.

Wielu chłopców płakało również.

Słowa powyższe wywarły swój skutek.

„Niektórzy pytali: Dlaczego ksiądz Bosko tak długo zwlekał z opowiedzeniem tego snu? – Odpowiadam tak samo jak przedtem: nie chciałem opowiadać wszystkiego, co śniłem. Dalej sam badałem ten sen uważnie doceniając jego wagę”.

Ksiądz Bosko wyraził się wobec niektórych współbraci:

– Te trzy dni dały mi więcej niż cały czas studiów w seminarium.

(MB IT VI, 829-832; MB PL VI, 285-287)